Rozmaitości

Dnia 27. Lutego | N$^{er.}$ 9. | Roku 1841.

A L I B I.

WYPADEK KRYMINALNY.

PRZEZ

EDWARDA SILESIUSZA.

W pięknem pogodnem zaraniu, gdy jeszcze jękliwe dzwony w swoich wysokich pokojach milczały, już w najplugawszym i najobrzydniejszym zakącie starego miasta Neapolu roił tłumnie gwarliwy wymiot ludności, jakiego w całym świecie ani ohydniejszego ani bardziej obszarpanego nie ujrzysz. Gęstym rzędem, jakby ul przy ulu, otaczały drewniane budy starożytną bramę Kapui, a z różno-kształtnych, blaszanych, ruchomych pieców, rozchodził się prawdziwie zaduszający, smrodliwy wyziew zgniłego parmezańskiego séra; krocie wynędzniałych, widocznie głodem wyniszczałych stworów, oblęgało próżne, zamiast stołów dnem do góry postawiane beczki, i płacąc wyżebranym groszem za makaron w czerepach nałożony, wydziérało sobie od ust gorące piérwszego dania przysmaki. Już i schludniejsze sklepy zaczęły otwiérać wystawę towarów; najrozmaitsze godła idąc z sobą o piérwszeństwo, wisiały gęsto w różnych kształtach jedne przy drugich lub jedne nad drugiémi. Drążniki, rębacze, lazarony, czekający na swych dawców roboty, leżeli kupami w cichej gnusności. Rybacy w krótkich, brunatnych sukmanach i w czérwonych czapkach uwijali się pomiędzy natłokiem z swą zdobyczą morską; włościanie wiozący z różnych stron jarzynę i owoce, poganiający swe uparte i leniwe muły, zacieśniali jeszcze bardziej ten tłum zgiełkliwy.

Byłto targ nawalny. Najemne kolasy, landary, koszami objuczone konie cisnęły się jedne między drugiémi w dzikim nieładzie, wszędzie widziałeś gmatwę, wir i największe zamieszanie. Tu słyszysz śpiéw wesoły i ochotę, tam żywą sprzéczkę i przekleństwo, tu znowu zaprzeczenie, a tam zapewnienie; słowem duch kupiecki na każdém miejscu, a żadna strona targu dobić nie może. Patrząc na to, mniemasz, iż widzisz urzeczywiszczoną starę baśń o wieży babilońskiéj, a nie będąc do takiego widoku przyzwyczajonym, sądzisz, iż ten tartas bez rozlewu krwi obejść się nie może. Teraz oto, pośród tego nacisku ludzi, pośród najzaciętszéj sprzéczki pięstukowéj, pojawia się żwawy, czarno ubrany, małego wzrostu człowiek, który stara się przez ten żywy wał ludu, zamykający mu przejście, wszystkiemi siły utorować sobie drogę do rozległego, wysokiego, naprzeciwko leżącego gmachu, którego czarne, grube mury, ponurym, milczącym wzrokiem na szalony zgiełk u stóp swoich z dumą poglądać się zdają. »*Corpo di Bacco!*« woła on trwożliwie, »jak widzę, dziś mi do *Vicaria* dostać się niepodobna. Precz mi z drogi ty naprzykrzony trzmielowy roju!«

Jakby taranem o twardą ścianę bijąc sobą w masę ludu, trącając i rozpychając łokciami, przedarł się nareszcie do bramy głównego więzienia.—Widok tego pałacu zgrozy, nie ma zaiste w sobie nic powabnego. Starożytne, z grubych brył kamienia wystawione, wznoszą się wysoko i okropnie do

góry, oddechem wieków tak bardzo przeczarniałe mury, iż uderzające o nie promienie słoneczne, świetność swoję tracą. Czasem tylko i to dla niezbędnéj potrzeby, spuszcza się ciężki, żelazny most nad zamuloną fosę, i połącza wolny, wesoły świat z tą jakby na zaklętéj wyspie czartowską ręką zbudowaną twierdzą. Za jéj małémi gęstą kratą obwarowanémi okienkami, albo raczéj dziurami, podobnémi do posępnych, zapadłych oczu w bladéj i zestarzałéj twarzy, widzieć można niekiedy nędznych, jak śmierć bladych, ni cienie duchów, błąkających się wyrzutków ludzkości, dzieci rozpaczy i zbrodni! Dziwnie i prawie w oburzający sposób połączona jest szlachetność i szczytność z niewolnictwem i nikczemnością w całéj strukturze tego gmachu — niby znamię jego stopniowéj, z królewskiego pałacu na dom sądowy — a nakoniec na więzienie zmiany.

Mały człowiek nasz przebiegłszy skwapliwie przysionek i piérwszy główny dziedziniec zapełniony woźnymi, strażami i służbą sądową wszelkiego rodzaju, zwrócił się ku samotnie stojącemu na tyle dziedzińcowi. Tam wszedłszy, zapukał dwukrotnie wiszącym na łańcuchu młotem do nizkich z dębowego drzewa, żelazną blachą pokrytych drzwi pobocznych, a daleko rozlégającemu się odgłosowi, odpowiedział z głębokich sklepień jęk przewlekły, i poświadczył dokąd to wnijście prowadzi. Po niejakiéj chwili w bramie na mocnych wrzeciądzach osadzonéj, otworzyło się kratą obwarowane okienko, a jak trup blada twarz z wyszczérzonémi zęby wyjrzała z niego. Byłato istna głowa upiora. Z okrągłych, jak u kota pod krzaczystémi brwiami iskrzących się oczu, błyskała dzikość zacięta, a podrzyźniające, w szpetny trójkąt wcięte usta, nadawały niższym częściom twarzy szydercze znamię, które w odraźny sposób z ponurém, pomarszczoném czołem i pogardliwym kobuzim nosem, wielkie przeciwieństwo sprawiało. Cała wyższa strona twarzy, podobna była do nocnéj gromnéj chmury, z któréj błysk podobny do uśmiéchu czarta wymyka. »No, no, tylko nie z takim hałasem; jest na świecie coś ważniejszego do czynienia, niźli tam komuś śpieszno bramę otwiérać«, ozwał się głos dziko-mrukliwy, lecz wraz zmienił się i zawołał: »Jako, co ja widzę? Signor Satalari!« przepraszam najuniżeniéj. Tak ranny gość? Zapewne jakaś ważna sprawa, gdyż *Signor* Satalari, nasz najbieglejszy rzecznik, bez potrzeby takby się nie zadyszał.«

»Dobrze zgadujesz, poczciwy Catenio! Prawda, idzie tu o bardzo trudny interes, o znaczną nagrodę, o znakomitego pana i rozpaczliwą sprawę. Przyczém ciebie Catenio według wszelkiego prawdopodobieństwa, niemały zarobek czeka. Ale przez to okienko trudno wszystko opowiedzieć, a ja prócz tego z jednym z waszych więźniów pomówić muszę.«

Przeraźliwie warknął klucz w zamku, a przez bramę z łoskotem otworzoną, wszedł Satalari do więzienia.

»Więc tu idzie o znakomitego pana?« powtórzył dozorca więzienia z namysłem, wszedłszy do małéj ciemnéj izdebki, gdzie jak pająk pośród w około osnutych komurek, sam jeden mieszkał. »Ponieważ tu nié ma wielu takich ichmości, więc zapewne będzie to książę San G., który tu już dwa lata przesiedział, a przez zabiegi możnéj swojéj rodziny uwolniony był od badania, któreby niezawodnie śmierć mu przyniosło.«

»Mój Catenio, ty masz wzrok bystrowidza, z tobą można bez ogródki pomówić. Dłużéj już badania zwlékać niepodobna. Rzecz jest sprawdzona, dowody są tak przekonywające, że teraz już muszą rozpocząć śledztwo kryminalne, a wkrótce potém i do gardła się wezmą. O téj sprawy obronę, zgłaszała się jego familija do większéj części moich kolegów, ale wszyscy oświadczyli, że nie są w stanie mu pomódz, a ja przecież podjąłem się dokazać tego.«

»Trudna sprawa«, odrzekł Catenio oziębłe.

»Ale nie jest niepodobieństwem, jeźli mnie wspiérać będziesz.«

»Ja miałbym ciebie *Signore* wspiérać?« przerwał mu mowę dozorca, wlepiwszy w niego wzrok podejrźliwy. »*Signor* znasz mnie jako człowieka, który wierny jest powinnościom swego urzędu, jakże mógłbym cię wspiérać?«

»Znamy się przecież; jest tu piękna gotówka do pozyskania, a któż inny, jeźli nie Catenio ma prawo zarobienia sobie z niéj znaczną cząstkę. Sześć tysięcy dukatów jest do wzięcia, a połowa jest już w mojéj kieszeni. Wdzięczność jednéj z najmożniejszych familij jest do pozyskania, a co ważniejsza, że w całéj téj sprawie nie ma żadnego niebezpieczeństwa — nawet cień najmniejszego pozoru na ciebie spaść nie może.« Po téj przemowie zaczął liczyć złoto na ubogim stole dozorcy, który to widząc stanął jak słup milczący. Fizyjognomik byłby w jego twarzy zdziwienie, bojaźń, podejrzliwość, a najbardziéj łakomstwo wyczytał. Wszystkie te namiętności miotały jego umysłem, i tak był nierozsądny, iż w Satalarego oku śledził, jaką mu dać ma odpowiedź.

Catenio pochodził z najniższéj klasy ludu i podobno tylko przypadkiem dla silnéj budowy swego ciała dozorcą więzienia został. Ważność jego urzędu zdawała się mu być bardzo wielką, i był w tém urojeniu, że mu ją tylko dla jego rzadkich przymiotów poczciwości powierzono. Kto tę słabą stronę ochraniać umiał, mógł go na wszystko naprowadzić, co jego łakomstwu dogadzało; lecz gdzie żadnego zysku nie było, tam był żelazny i nieugięty w wykonaniu swéj powinności.

Podobnież i Satalari był z nizkiego początku, ale od natury nadzwyczajną zdatnością i przebiegłością uposażony. Byłyto przymioty, które w powołaniu swém jako rzecznik do najwyższéj doskonałości doprowadził. Umiał on równie szybko myśli śledzić, jak i korzystać ze słabości bliźniego. Zasady jego mknęły bardzo lekko na powierzchni jego sumienia, a dla dopięcia skutku swoich górnych planów, nie wahał się wszystkiego na niebezpieczeństwo stawić.

Satalari wiedział dokładnie, jaką moc wywiéra złoto na zasady Cateniego; błyskając i dzwoniąc złotym kruszcem, natarł stanowczo na opiérającego się przeciwnika; a że ten ostatni zawsze jeszcze z poddaniem się ociągał, więc przybrał minę, jakby prośby jego nie przyjęto, i zaczął złoto do kieszeni zgartywać.

»No, no, niech się *Signor* tak bardzo nie spieszy!« rzekł Catenio chwyciwszy go za ramię, »wszakże jeszcze nie powiedziałem, że nie przyjmuję. Chciałbym tylko wiedziéć, czego właściwie pan odemnie żądasz.«

»Otrzymasz odemnie sześć tysięcy dukatów — bez wszelkiego niebezpieczeństwa i odpowiedzialności.«

»Sześć tysięcy dukatów? bez wszelkiego niebezpieczeństwa i odpowiedzialności!« westchnął głęboko dozorca. »Byłabyto rzecz piękna, byleby się tylko sprawdziła.«

»Jak mówiłem, bez wszelkiego niebezpieczeństwa, a nawet bez ubliżenia swéj powinności, bo — jakże mógłbym ci to dać do namysłu?«

Catenio uśmiéchnął się z upodobaniem sam do siebie, a schlébiona próżność skłoniła go jeszcze bardziéj do słuchania propozycyi. Ściany są głuche, nikt nie słyszał, o czém z sobą mówili, jednakże, obadwaj jakby instynktem zbliżyli się jeszcze bardziéj jeden do drugiego, aby jeszcze ciszéj z sobą pomówili. Szepcąca ta rozmowa trwała niemal przez pół godziny.

»Na trzy godzin tylko ma się ztąd oddalić?« rzekł nakoniec dozorca więzienia nieco głośniéj: »A gdyby namiestnik właśnie pod ten czas przyszedł zwidzać więzienie? — Lecz to byłby nadzwyczajny przypadek, który niepodobna, aby się koniecznie teraz miał wydarzyć! Trzy tysiące dukatów teraz zaraz, a późniéj takaż samę ilość, a przytém bez wszelkiego niebezpieczeństwa?«

»Teraz pójdźmy do naszego więźnia«, rzekł Satalari z tryjumfem, a błysnąwszy rulonem złota we drzwiach, zmusił dozorcę do milczącego posłuszeństwa. Przeszli kilka ciemnych kurytarzy, a nakoniec poszli po wschodach prowadzących na wyższe piętro.

Wysoka godność księcia sprawiła, że go w wygodniejszém pomieszkaniu niż powszednich więźniów trzymano. Satalari wszedł do pokoju, który dość przyzwoicie był urządzony. Dozorca więzienia, stosownie do umowy, zamknął na klucz drzwi za nim, i obudwóch sam na sam zostawił. Książę zajęty pisaniem siedział w pobliżu okna; mniemając, że dozorca odbywa ront zwyczajny, nie sądził być potrzebną rzeczą spojrzéć na wchodzącego. Satalari, chociaż między swémi równymi zawsze śmiały, na widok szlachetnéj dumy siedzącego naprzeciw niemu człowieka, uczuł w sobie mimowolnie niejaką obawę.

Przypatrując się mu z uwagą, stał w milczeniu przez chwilę. Na twarzy księcia malowała się głęboka spokojność, która dla Satalarego równie niepojętą jak i niedogodną była. Gniewem i rozpaczą miotany człowiek byłby dogodniejszy do jego planu.

»*Eccelenca! Eccelenca!*« rzekł nareszcie zbliżając się z uszanowaniem.

Książę obejrzawszy się i spostrzegłszy nieznajomego człowieka, rzekł z dumą: »Kto jesteś? Czego żądasz? I czemu się mi naprzykrzasz?«

Satalari przystąpił bliżéj. Ostra przemowa księcia dotknęła jego miłość własną; z rozwagą zastanowił się nad ważnością złożonéj w jego ręku sprawy. »Nazwisko moje jest Satalari,

jestem rzecznikiem, a familija *Eccelency* poleciła mi Jego obronę. *Eccelenca* będziesz uratowany!«

»Uratowany?« powtórzył książę oziębłe. »Zapewne nie wiész, jak trudnéj sprawy się podjąłeś. Już od dwóch lat przemyśliwałem o wszelkich jakie tylko być mogą środkach, a żaden nie jest dostateczny.«

»Usłuchaj *Eccelenca* mojéj rady, a ja cię na zawsze z tego więzienia wyprowadzę.«

»Człowieku, to jest niepodobieństwem! — Sto świadków przeciwko mnie powstaje. — Cóż można przeciw temu powiedzieć?«

»Ja zaręczam waszéj *Eccelency*, że Go uznają niewinnym i na wolność wypuszczą.«

Książę wlepił mocno wzrok w niego i rzekł: »Nawet w więzieniu nie chcę być na żart wystawionym. Biada tobie, jeźli ze mnie igraszkę sobie robisz. Jako pojedyńczy człowiek jestem teraz bezwładny, ale mam krewnych i przyjaciół, którzy za mnie pomścić się mogą. — Teraz mów daléj.«

»*Eccelenca* mówisz o zemście? — Zemsta spaść może tylko na jednę głowę, która niezadługo zechce przeciw *Eccelency* jako świadek wystąpić.«

»Co za nierozsądna mowa! Nie jestemże w tych murach strzeżony?«

»W téj mierze o wszystko się już postarano. *Eccelenca* możesz się na trzy godzin oddalić, a po upływie tego czasu znowu do więzienia powrócisz. Jutro pod wieczór, punkt o godzinie ósméj, otworzy się brama więzienia, Catenio przyniesie suknie, w które się *Eccelenca* bez zwłoki przebierzesz, a z resztą na mnie się spuścisz. — Lecz oto nadchodzi Catenio dla wyprowadzenia mnie z więzienia. Dłuższe wyłuszczenie téj rzeczy, nie zbliży nas do celu, *Eccelenca* spuść się na mnie ze wszystkiém.«

»Niebawem lepiéj ze sobą się poznamy«, odrzekł książę krótko. Zresztą, pójdę za twoją radą, i będę gotów o godzinie, którąś wyznaczył.«

Satalari ukłonił się i odszedł.

* * *

Wilija Bożego Narodzenia jest jedną z najświetniejszych uroczystości w Neapolu — jestto uroczystość powszechna, dla bogacza jak i dla ubogiego, dla szlachty i lazaronów. Wszyscy mieszkańcy oddają się radości tak w pałacu jak i na rynku, wszędzie znajdziesz nieprzerwany łańcuch zgiełkliwych zabaw i wesołych rozrywek, słowem jestto uroczystość narodowa.

Od samego świtu rozléga się głos dzwonów w niezliczonych kościołach, cały Neapol jest w ruchu, a mnóstwo sztucznych ogni wzbijając się pod niebo we wszystkich dzielnicach miasta, powszechną tę radość jeszcze bardziéj powiększa. Każdy czuje i podziela wesołość swego sąsiada, jeden świąteczny akord rozléga się harmonijnie po wszystkich ulicach. Wszystko jest ozdobione wieńcami i kwiatami, niemniejszy także urok na płochą i zagapioną gawiedź wywiérają budy, które wszelkiego rodzaju przysmakami są zastawione.

Wszędzie ujrzysz wszelkiego gatunku i wszelkiéj barwy owoce i konfitury, jako sztuczne groty i świątynie ułożone; nad niémi wiszą na różnobarwnych wstążkach krocie wonnych pomarańcz i soczystych cytryn; gdzie niegdzie spostrzeżesz sztucznie z cukru urobioną kaplicę w minijaturze, a zupełnie w ostatnim jéj zakątku, pod najdalszémi łukami sklepienia piękną, z wosku urobioną, i małémi jarzącémi świécami otoczoną *madonnę,* która do marnego blasku wszystkich tych przysmaków z upodobaniem się uśmiécha.

Powszedni sprzedawacze wszelkich rodzajów posiłków, jako to: pasztecików, lodów i limonijady, krzątając się zwinnie, okazują swoje talenta. Wszystkie interesa doznają ogólnego spoczynku; jedne tylko oczy są w nieprzerwanéj, podziwiającéj czynności. Nie jestto już ten sam Neapol, co był wczoraj, jestto w całym roku jeden dzień, w którym wszystko życzy sobie widzieć i być widzianém. Zwolna nadchodzi wieczór, a natłok coraz bardziéj się wzmaga. Rozgłośny okrzyk wita niezliczone szmermele i rakiety wylatujące ze wszystkich okien, a milijony jaskrawych promieni rozpościérają chwilowy blask nad głowami snującéj się, jak fale morza rozkołysanéj ciżby; zdaje się, iż nié masz ani na cal miejsca dla uczynienia najmniejszego kroku, a jednak wszystko chce być w ruchu, wszystko chce być zarazem na każdém miejscu. Szczególniéj zaś na ulicy *Toledo*, w tym środkowym punkcie ludności i festynu, tam widzieć trzeba to starcie się mas walczących z sobą, ten krzyk ściśniętych i pognieciónych, którzy z tém wszystkiém za nic w świecie oddalićby się nie chcieli. Pośród tego największego nieładu i zamieszania wjeżdża nagle powóz; nadaremnie usiłuje woźnica przebić się przez ten wał z ludzi ubity, bez skutku pełzną wszelkie jego prośby i klątwy, a nawet przejazd jest zupełném niepodobieństwem. Nakoniec powóz utkwił jak klin wbity pomiędzy ludźmi. Dla jadących nié masz innego sposobu, jak tylko albo czekać, albo téż wysiąść z powozu i pieszo pomiędzy natłok się przedziérać — co także nie bardzo sporzéj idzie. — Osoby, które z powozu wysiadły, sąto dwaj mężczyźni; jeden z nich jest wysokiego wzrostu, i, jak to z pod jego szérokiego płaszcza dostrzédz można, człowiek dumnéj postawy.

Niezważając na żadne przeszkody, a nawet z niejaką rozkoszą przedziéra on się przemocą naprzód, i tak dla siebie jakoteż dla swego towarzysza nie bez silnego oporu śród największéj ciżby drogę sobie toruje. Nareszcie zatrzymuje się jakby umyślnie przed grupą widzów, z których jedni stoją, drudzy na ziemi leżą, a wszyscy z wytężoną uwagą i zagapioną miną słuchają jakiegoś człowieka, który płynną swoją wymową we wszystkich zapał i podziwienie obudza. Jestto improwizator, uwielbiający bohatérskie czyny niepokonanego Rynaldyniego z właściwą swego rzemiosła gadatliwością. Gdy od czasu do czasu w swéj mowie się zatrzyma, wstrzymuje w sobie także oddech otaczająca go tłuszcza, aby żadnego z drogich jego słów nie uronić.

Nieznajomy nasz zdawał się także mieć upodobanie w téj grupie, gdyż stanąwszy przy niéj, nie ruszył się z miejsca. Atoli im mniéj powiérzchowność jego z tą zgrają się zgadzała, tém większą na około siebie wzbudzał ciekawość. Szczególniéj jeden z lazaronów zaczął się mu przypatrywać z natężoną uwagą i szepnął swemu sąsiadowi do ucha: »Salvatore, przypatrzno się temu człowiekowi dokładnie, i powiédz mi, ażali on do księcia San G*** nie jest podobny.«

»Jako? — do księcia San G***, który już od dwóch lat jest uwięziony, który publicznie na ulicy w obec pięćdziesięciu świadków zamordował swoję kochankę? — Czyś zmysły stracił Gaetano? — Przecież tobie powinno najlepiéj być wiadomo, że on jest pod dozorem twojego stryja Cateniego, a ten choćby nawet w wiliją Bożego Narodzenia, nie wypuści z swoich szponów zdobyczy. Widać, że ci wino głowę zawieruszyło.«

»Ty jesteś sam zawieruszony! — Ja nie mówię, że to jest książę, tylko, że do niego bardzo podobny! — Przypatrz mu się dobrze — widzisz tam stoi naprzeciwko!«

»Ej, co mnie tam do tego! ja leżę sobie tutaj wygodnie, i nie lubię ruszać się z miejsca.«

»Nie potrzebujesz tylko się obejrzéć. Zaręczam ci, że ja go znam dobrze; nieraz przed skwarnym upałem słońca kryłem się pod sklepieniem bramy jego pałacu!«

Salvator oparł głowę na łokciu i spojrzał w oznaczoną stronę.

»Do stu drabów«, rzekł potém, »słusznie mówisz, podobieństwo jest nadzwyczajne. Ale ten człowiek jest wyższego wzrostu. Być może, że to brat jego. Patrz, tam widzę Viganiniego! Zapytaj go, on ci powié dokładniéj, gdyż książę był dawniéj jego dobroczyńcą, a w Iszyi mieszkał w jego pałacu.«

Za odezwaniem się improwizatora umilkły wszystkie poszepty, gdyż wszyscy obecni utopili w niego i słuch i oczy. Jednakże Gaetano nie mógł od nieznajomego odwrócić swego wzroku. Jakkolwiek słodko pieściła mu uszy wymowa improwizatora, zwracał on ciągle swą uwagę na tę wyniosłą postać, i zaczął w myśli przebiegać wszystkie znajome osoby, któreby swém podobieństwem po upływie dwóch lat zwiéść go mogły. Jednakże nie zdołał sobie wybić z głowy swéj piérwszéj myśli, a gdy na chwilę dłonią oczy sobie zakrył, a potém je znowu w przedmiot swéj ciekawości utkwił, został jeszcze bardziéj przekonanym o téj prawdzie, która prawie niepodobieństwem być się mu zdawała. Tylko twarz nieznajomego była cokolwiek bledsza, niż przedtém, atoli jego ciemne, przeszywające oko bazyliszka, którém po całym natłoku z niespokojnością wodził, spoczęło teraz swym znanym, kolącym wzrokiem na Gaetanie. Ten świdrujący pogląd sprawił jakieś niemiłe wrażenie na Gaetanie; chciałby się był, sam nie wiedząc dla czego, w innéj znajdować stronie, ale jego wygodna gnuśność nie ruszyła go z miejsca. Tuż u stóp tego nieznajomego leżał na ziemi młody góral kalabryjski, którego kurtka ze skór kozich, dotykała się rzęsistych fałdów płaszcza rzeczonéj, nieznajoméj osoby; młodzieniec ten zatopiwszy się w najśliczniejsze dziwy opowiadania, nie pamiętał o sobie. Powiérzchowność jego była ujmująca, szczérość i otwartość umilały pogodą czoło jego, a na twarzy jego malowało się podziwienie tego wszystkiego, co widział i słyszał, gdyż dla dziecinnego umysłu jego wszystko było nowém i zadziwiającém. Zampagnaro, tak się zwał ten chłopiec, wyjednał sobie po raz piérwszy u matki swojéj pozwolenie opuszczenia gór rodzinnych, a idąc do wielkiego miasta, o którém tyle dziwnych rzeczy słyszał, nie wziął z sobą nic więcéj, jak tylko góralską piszczałkę, aby po drodze przed każdym wizerunkiem *Madonny*, zagrał i zaśpiéwał. Wieczór dzisiejszy był właśnie ostatnią chwilą tego uroczystego uczczenia, a nazajutrz miał on znowu z młodymi towarzyszami swymi do Abruzów powrócić; nie dziw więc, że z wielką chciwością korzystał z swego czasu, że na każde słowo lirnika lub opowiadacza, ciekawie nadstawiał ucha, jakby życząc sobie, na zawsze je w pamięci zatrzymać; — ach, biédny chłopiec! jakże on wiele, wiele za swoim powrotem do domu miał opowiadać, i z jaką radością oczekiwał téj szczęśliwéj chwili!

Pomiędzy obecnymi było wielu ziomków tego chłopca. Na wiérzchu kożuch barani, pod spodem granatowy kaftan, czerwona kamizela i

zielone spodnie — drewniane trzewiki, i śpiczasty, futrem oblamowany kapelusz, okazywały, że to są mieszkańcy kalabryjscy. Jednakże między tymi wszystkimi nie było tak miłéj, żywéj, tak niewinnéj i przyjemnéj twarzy, jaką miał nasz Zampagnaro. Jakoż nie było w tém nic dziwnego, gdyż młode lata nie zostawiły jeszcze na licu jego żadnéj gwałtownéj burzy znamion, chłopiec nasz liczył dopiéro lat szesnaście. Był on jak gołąbek niewinny, i nie wiedział co bojaźń lub niebezpieczeństwo. Jakże o tém miał wiedzieć? wszak on żadnéj duszy na świecie nie uraził, — nikomu nawet, jakto mówią, wody nie zamącił. Świeżém, niewinném okiem, całą duszą zatopiony w słowach i jestach natchnionego opowiadacza, był prawie zaczarowany, a nie widział — biada mu! ani przeczuwał — co ostrożnemu wzrokowi Gaetana nie uszło — że czarne, ogniste, przeszywające oko strasznego nieznajomego przez chwil kilka ponurym, osłupiałym wzrokiem na nim spoczęło, i jakowąś tajemną, straszliwą myśl o nim wylęgało!

Biédny Zampagnaro! groźna, brzemienna chmura zawiésza się nad twoją głową! — już się ma łyskawica pojawić, już ma piorun uderzyć, a ty biédna duszo, ani przeczuwasz twéj zguby!

Za jednym razem zbliża się o jeden krok nieznajomy, i śpieszno przechyla się naprzód, jak gdyby chciał się z większą uwagą przysłuchiwać; széroki płaszcz otacza Zampagnara i bierze go oczom bacznego Gaetana.

Byłato jedna tylko chwila, ale pełna nieszczęścia! Nim dostojny nieznajomy wyprostował się i dawną swoję postawę przybrał, już dał się słyszéć wykrzyk przeraźliwy, gdyż już pod cieniem złowieszczego płaszcza życie ludzkie zgasło!

Gdy po tym krwawym uczynku, w téjże chwili wielki rozruch powstał, już ponure, czarne oczy i blada twarz nieznajomego z natłoku zniknęły. — Gaetano zerwał się z miejsca — ale już było za późno; pośród powodzi tak wielkiéj masy ludu zaginął zabójca, i gdyby na tém samémże miejscu, gdzie stał, we krwi się nie tarzała nieszczęśliwa ofiara, niktby tego uczynku nie był miał za sprawę rzeczywistą, i byłby sądził, że to wszystko było tylko snem piekielnym.

Biédny Zampagnaro! boleśnie konając leżał rozciągnięty na ziemi. Strumień krwi płynał coraz słabiéj, a oddech ust jego coraz bardziéj umiérał, gdyż sztylet prosto w serce ugodził. Jego żałośne, umiérające, niewinne oczy były wlepione w jego towarzyszy, jakby się zapytywał: »Powiédźcie, czemu tak wcześnie i tak okropnie umiérać muszę?« Razem zebrawszy wszystkie siły zawołał: »Ach biédna, biédna matko moja!« i wyzionął ducha!

Ale któżto był ten zabójca i gdzie się on podział? — Struchleli świadkowie; zaledwie śmieli pytać jeden drugiego i tylko w milczącém przerażeniu poglądali na siebie. — Atoli nie tylko jeden Gaetano przypatrzył się dokładnie dumnemu zabójcy, dwudziestu innych świadków byłóby na to przysięgło, że to był książę San G***, ten sam, który przed dwoma laty publicznie na rynku niewiastę zamordował. Dumna jego postawa i ciemne, groźne oko, stawiały niezawodne świadectwo; każdy ruch przekonywał, że to był książę a nie kto inny, — a jednak, jakimże sposobem to stać się mogło? Wszak powszechnie było wiadomo, że on w Vicaria jest w więzieniu zamknięty, że lada dzień miał być badanym. Domysły mogły być mylne; z tém wszystkiém sprawiedliwość musiała oskarzyć księcia San G*** o zabójstwo Zampagnara. Wypadek mówił przeciw niemu rzeczywiście, a rzecznicy wzięli na siebie to trudne zadanie, przy konfrontacyi przeciw świadectwu tak licznych i zdrowych pięciu zmysłów, oskarzenie jako nierozstrzygający dowód zniweczyć. Wielu zaś z powodu tego nowego wypadku oświadczyło, że obadwa na księcia wniesione oskarzenia są już przez to samo bezzasadne, a jednym z pomiędzy tych ostatnich był Viganino, który stale utrzymywał, iż jest przekonany, że księcia San G*** o piérwsze zabójstwo niesłusznie obwiniono, — a co do drugiego, rzecz jasna, że go popełnić nie mógł.

W czasie, gdy się ten spór toczył, a lud uniesiony zemstą na zabójcę, którego na nieszczęście nie znał, coraz bardziéj się srożył, na wieży w *Vicaria* udérzyła jedynasta godzina i pod kapuańską bramę zajechał powóz, z którego w milczeniu dwóch w płaszczach ukrytych mężczyzn wysiadło. Odprawiono woźnicę, a obadwaj nieznajomi, obziérając się, azali ich nie postrzeżono, poszli pieszo niejaki kawał drogi.

»Oto jest fórtka *Eccelenca*«, rzekł z nich jeden, »Catenio czeka tylko znaku dla otworzenia.«

Po upływie chwil kilku zamknęła się tylna fórtka za księciem San G***, a w godzinę późniéj, gdy dwunasta wybiła, zgasił spokojnie Satalari swą świécę i zasnął z tém przekonaniem, że nadzwyczajnéj dokonał sprawy, i że nadzwyczajna czeka go nagroda.

(Dokończenie nastąpi.)

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł Nr. 8. i obejmuje: 1) O pomyslnem aklimatyzowaniu olbrzymiego zboża z St. Heleny w Dalmacyi, należącego do rodzaju żyta. 2) Sposób łąki z trzciny i szuwaru oczyścić. 3) Jak jest ważną rzeczą aby chów bydła także i u nas się podniósł. 4) Artykuł konkursowy i rozprawa o fabrykacyi cukru z buraków, ogłoszone przez Edwarda hrabię Raczyńskiego. (Ciąg dalszy.) 5) Sporządzenie sztucznych drożdży. 6) Sposób żeby się lampy nie dymiły. 7) Wynalazek nowego nastroju (aparatu), który gorąco pochodzące z paliwa w wielkim stopniu powiększa. 8) Sposób żeby kury dużo jaj niesły. 6) Wiadomości czasowe.

Niespracowany badacz w krainie przyrody, Dr. Aleksander Zawadzki, profesor fizyki i matematyki zastosowanéj przy liceum w Przemyślu, wydał w Sztutgardzie r. 1840 zapowiedziane dawniéj dzieło swoje: *Fauna der galizisch-bukowinischen Wirbelthiere*, zawierające opis zwierząt ssących, ptaków, gadów i ryb, które żyją w naszéj prowincyi. Zostawiamy znawczemu w téj gałęzi nauk pióru przynależne ocenienie tego ze wszech miar ważnego i starannie wypracowanego dzieła; tu tylko zwracając nań uwagę uczonéj powszechności dodać nam należy, iż takowe w opisie wyż wymienionych zwierząt, obok nazw niemieckich i łacińskich, mieści oraz polskie, mianowicie według *Zoologii* Fel. Paw. Jarockiego, czém uczony autor na tém większą wdzięczność naszę zasłużył. W końcu dodany jest alfabetyczny słowniczek nazw polskich. Dzieło to 190 stronic w 8. obejmujące, przypisane jest J. K. M. najdostojniejszemu Arcyksięciu Ferdynandowi Austryjacko-Esteńskiemu, jeneralnemu Gubernatorowi Galicyi. *S. J.*

W *Biblijotece Warszawskiéj*, piśmie wychodzącém pod redakcyją A. J. Szabrańskiego, w sporych miesięcznych poszytach, a wyszczególniającém się doborem pożytecznych i zajmujących artykułów, w poszycie z lutego, czytamy następującą wiadomość z Wilna: »Niezmordowany nasz pisarz J. J. Kraszewski, nowe powieści gotuje do druku. Jak mamy pewną wiadomość, miał zawrzéć układ z księgarzem Zawadzkim, że dostarczy mu dwanaście nowych powieści w ciągu roku. Obfitość niesłychana!« — Wracając się do *Biblijoteki*, życzymy jéj przy dotychczasowéj dążności jak najlepszego powodzenia; niech tylko nie wszystkiemu wierzy, co jéj z kąd innąd (mianowicie ze Lwowa) donoszą, i o zupełnie godnych zaufania stara się korespondentów.

Z wileńskich doniesień literackich ks. Antoniego Muszyńskiego, umieszczanych w *Tygodniku Petersburskim*, wyjmujemy: »Do niepospolitych, powiedzmy nawet, do nadzwyczajnych zjawisk w literaturze piśmiennéj wileńskiéj, należy bez wątpienia, Judel Klaczko, teraz piętnasto-letni Izraelita. Już samo to, że w tak młodym, w dziecinnym prawie wieku pisać zaczął, jak niekiedy, w dobie zwykłego rozwinięcia sił umysłowych zdolna, jest rzeczą niezwykłą; lecz że w takim wieku, tak niedziecinne, owszem mające niezaprzeczoną wartość pod względem myśli i wyrobienia, pisze wiersze, członek oddzielnéj u nas kasty, z trudnością naukom naszym przystęp do siebie dającéj, słowem Izraelita, to niezawodnie do nadzwyczajności należy. Niektórzy nawet w Wilnie nie mogli uwierzyć, aby trzynasto-letni Izraelita, był istotnie autorem wierszy, które z jego podpisem wyszły, pod nazwą: *Moja pierwsza ofiara**); lecz teraz ci niewierni już się nawrócili, i o talencie Judela nie wątpią.—Judel ma w rękopismie sonety, wiérsz: *Izraelita na zwaliskach Jerozolimy* i pracuje nad poematem *Powódź*. W hebrajskim języku niemało napisał i drukował, między innémi, przełożył na ten język kilka ballad Mickiewicza i trajedyję Korzeniowskiego *Mnich*, która już podobno wyszła w Lipsku. Syn jednego z możniejszych kupców wileńskich, bierze domową edukacyję, i z zapałem naukom się poświęca. W wolnych tylko chwilach oddaje się poezyi, którą namiętnie polubił. Poznałem go, słyszałem deklamującego z ogniem własne wiérsze, słyszałem mówiącego o literaturze z sądem samodzielnym, dojrzałym, i wyznaję chętnie, że miłego nader doznałem uczucia.«

*) Wiersze te umieszczone były w Nrze 49 *Rozmaitości* z r. 1839.] *Przyp. Redakcyi.*

Gazeta Poranna donosi z Warszawy pod dniem 14. b. m. »Jeden z autorów naszych (August Cieszkowski), znany nie tylko w języku własnym, ale podziwiany i od zagranicznych krytyków, piszący po niemiecku i francuzku znakomite dzieła, a którego *Prolegomena zur Historiosophie* tyle ściągnęły rozgłosu, dał wczoraj w mieszkaniu swojém prawdziwie literacki wieczór. Nie było ani jednéj kobiety, nie huczała muzyka, nie było wista ani tańców, a jednak cztérdzieści kilka osób najmiléj czas do późnéj spędzało pory. Wszędy znać było, że to jest grono myślących. Minister Grabowski, hr. Kossakowski, książę Jabłonowski, hr. Małachowski i bardzo wielu innych światłych i biegłych w znawstwie, nie tylko własnéj, ale i ogólnéj nawet literatury, mężów, zaszczycało to zebranie. Samych autorów, których dzieła osobno były wydane, znaczna się znajdowała liczba. Redaktorów dawniejszych było 6, w téj liczbie hr. Skarbek, hr. Kiciński, Dom. Lisiecki i t. d. Redaktorów nowych pism czasowych polskich było 10; w téj liczbie Wojcicki, Tyszyński, Majewski, Baliński, hr. L. Potocki, hr. L. Łubieński, Szabrański, Kurc, i t. d. Według tych więc kategoryj, było 16 redaktorów pism naszych, bądź minionych bądź teraz byt swój czasowie mających. Nie znajdowało się jednak mimo to 5 głównych redaktorów, którzy snadź filozofowi naszemu, nie byli znani. Łatwo pojąć, że gdzie było tyle uosobionych idei, ożywionych rozprawami młodego gospodarza i jego ojca, tam karnawał najlepiéj podobno uświęconym został.«

Wynalazek. Pan Hjorth, sekretarz dyrekcyi artyleryi duńskiéj, rozwiązał nakoniec zadanie, o które dotychczas najsławniejsi marynarze naprożno się kusili i za rozwiązanie którego tak administracyja pocztowa jakoteż korporacyja kupców kopenhaskich nadaremnie nagrodę wyznaczała. Wynalazł on statek parowy, który prawie z taką samą szybkością przeprawia się przez najgęściejsze bryły lodowate jak po najgładszéj drodze. Pan Hjorth przedłożył administracyi pocztowéj model swojego statku, który ma być zbudowany z żelaza i o sile 520 koni. Piérwszy *pyroscaph* tego gatunku do służby pocztowéj, przez wielki Belt użyty będzie.

W Neapolu pokrywa śnieg okoliczne góry i szczyty Wezuwijusza, a w dolinie dojrzéwają pomarańcze, zielenią się łąki i wszystkie ogrody napełnione są kwitnącémi różami, hyjacyntami i narcyzami.

Maryja Stuart i Atalija. Szyller i Rasyn. Pisma francuzkie doniosły, iż Berlińczycy z równą oziębłością na swojéj scenie przyjęli tłumaczoną Atalije Rasyna, jak Paryżanie tłumaczoną Maryję Stuart Szyllera. Z tego powodu pan Janin, dla zasłonienia się od pocisków krytyków niemieckich, odwołuje w najnowszym numerze *Journal des Debats* to wszystko, co piérwéj przeciw Szyllerowi i Maryi Stuart powiedział, utrzymując to samo, co i my w numerze 5tym z dnia

30go stycznia naszych »Rozmaitości« nadmienili, że téj krytyki właściwie nie dramat Szyllera, ale złe francuzkie tłumaczenie podstawą było. Kto bezstronnie nad tą rzeczą się zastanowił, i mowę Janina nie podług słów nadmienionej krytyki, lecz podług zawartego w niéj znaczenia rozważył, ten przyzna, iż zdanie, które Janinowi podsunięto? tylko od szaleńca pochodzić może. A przecież Janinowi, jako jednemu z najjenijalniejszych dziennikarzy francuzkich, szaleństwa przypisać niepodobna. Pozwólmy, niechaj Janin sam mówi. »Wpanowie czytaliście o dramatycznym rozruchu w Berlinie, gdzie młodzież niemiecka ujmując się za Szylierem, Atalię znieważyła. Panowie studenci, zemsta wasza nie była ani spaniałomyślna ani też jenijalna. Jako, wy wygwizdaliście Atalię dla tego, że jeden z zagranicznych krytyków ośmielił się powiedzieć, że Maryja Stuart Szyllera, (która przecież tylko pod względem formy do Szyllera należy), jest w niektórym względzie co do planu chybioném dziełem? Wy wywieracie zemstę na Rasyna dla tego, że wielki Szyller, we Francyi za największego z wszystkich poetów nie uchodzi? Jestżeto szlachetnie? Co do mnie, ja sądzę raczéj, że się niemieckie dzienniki w téj mierze zupełnie omyliły, że w całym tym zatargu ani Szyller ani francuzka krytyka żadnego udziału nie ma. Ci młodzi ludzie, którzy o niezrównanych pięknościach Rasyna ani wyobrażenia nie mają, dla których boski jego język jest niezrozumiały, co się powiększej części nawet samym Francuzom zdarza, widzieli Rasyna i jego trajedyję tak źle przez kogoś wytłumaczoną, jak u nas Lebrun wytłumaczył Szyllera, a nie znalazłszy w tém tłumaczeniu żadnéj iskry boskiego jenijuszu, i nie postrzegłszy w niém nic, jak tylko dramat bez barwy, bez poezyi i bez prawdopodobieństwa, więc wygwizdali z zapałem i bez względu tę lichą ramotę. I w téj mierze najsłuszniéj sobie postąpili. Otóż my w takiém samém zostawaliśmy położeniu. Przedstawiono nam Maryję Stuart Szyllera, ale zeszpeconą, pokaleczoną, tylko blady cień umierającego człowieka, tylko odbitkę namiętności, daleki odbiask nieznanéj nam poezyi, a więc jak Niemcy nudzili się i wygwizdali Atalię niemiecką, tak też i my znudzeni, wygwizdaliśmy francuzką Maryję Stuart. Ale jestżeto dostatecznym powodem, by dla tego na przeciwległych brzegach Renu uświęconych bożków obalać, by z obojéj strony starych bogów znieważać i z obojéj strony z błotem arcydzieła mieszać? Bynajmniéj. Niech nas Bóg od takiego wandalizmu zachowa! Niech nas Bóg od takich hekatombów, od podobnych zniewag zasłoni! My niezamyślamy gruzami posągu Szyllera obalać posągu Rasyna. I owszém każdy posąg niech w tryjumfie i uwielbieniu na swojém miejscu stoi. Miło nam będzie, gdy Niemcy na wielkiego naszego poetę w jego świetnym majestacie poglądać będą, co większa, wolno im nawet utrzymywać, że ten majestat jest nazbyt królewski, zimny, poprawny. Atoli z drugiéj strony niechże nam wolno będzie rozpoznawać niemiecką poezyję w chmurnych jéj szczytach, niech nam wolno będzie podziwiać ją bez przymusu, i bez uwłaczania z ich strony naszym poetom. I do czegożto mości panowie waszą popędliwością zmierzacie, godziż się poetów na polu wolności i krytyki podobnie jak ludzi na bojowisku zabijać? Ucbylmy się od tego, tak jedni jak i drudzy, tak Niemcy jak i Francuzi. Nie będziemy się bili arcydziełami, i na tem koniec. Nasz gniew przeciw Maryi zeszpeconéj przez pana Lebrun, nasze słabe zadowolenie grą panny Rachel niechaj Niemcy przyjmą za dowód sympatyi dla szczytnego, ognistego śpiewaka Don Karlosa, Joanny d'Arc i Wallensztajna, a my przyjmiemy za to jako słuszne usprawiedliwienie waszego rozjątrzenia, niemieckie tłumaczenie Atalii, i zupełne zniknienie melodyi i wdzięku Rasyna. Oddajmy Cezarowi co do Cezara, Szyllerowi co do Szyllera, a Rasynowi co do Rasyna należy. My chętnie uklękniemy przed ubóstwionym wizerunkiem Szyllera, a wy z pokorą ucałujcie tryjumfującą rękę Rasyna.«

W sławnej galeryi księcia Aremberg w Brukseli, podług dzienników francuzkich, znajduje się także prawdziwa głowa Laokoona, którą dziad tegoż księcia za 30, czyli 40,000 cekinów we Włoszech nabył. Gdy Bonaparte kazał przywieźć do Francyi grupę Laokoona, wiedział dobrze, że głowa téj grupy u księcia się znajduje, i dawał mu za nię znaczną sumę. Ale książę nie przyjął, a obawiając się, aby mu jéj przemocą nie zabrano, przechowywał ją w Dreźnie, zkąd ją późniéj do Brukseli sprowadził. Mówią, iż ta głowa w zadziwiający sposób wyraża cierpienie duszy i ciała.

Przypadek. Straszne nieszczęście dotknęło niedawno książęcą familię Jussupów w Petersburgu. Pani Nyryszkin, matka księżnéj Jussupów, spaliła się. Siedząc u kominka blizko przy ogniu, czytała książkę, niespodzianie z trzeszczącego ognia padło kilka iskr na jéj suknią, która natychmiast się zajęła i płomieniem buchnęła. Przelękniona garderobiana zamiast ogień przytłumiać, pobiegła po służącego, który już za późno przybył.

Przestroga, by nie używano do jedzenia zmarzłych kartofli. Jak szkodliwém jest pożywanie zmarzłych i wodnistych kartofli, dowodzą przypadki, które się w miesiącu grudniu z. r. w państwie *Wlaszym* (w Czechach) wydarzyły. Albowiem w skutek tegoż pożywienia, umarło nagle dwie osób, a wiele innych bardzo niebezpiecznie zachorowało. *(Bohemia.)*

Napoleon i Haydn. Pisma francuzkie zapełnione obecnie różnémi anegdotami o Napoleonie donoszą iż w dzień, gdy Napoleon na czele swego wojska odbywał wjazd tryjumfalny do Wiednia, przypatrywał się Haydn z okna temu widowisku i z tego powodu jako patryjota w smutku był pogrążony. Po niejakim czasie usłyszał, iż do drzwi jego zapukano tak mocno, iż Haydn z swego dumania się obudził. Gdy drzwi otworzył, z niemałą trwogą spostrzegł francuzkiego oficera, który wszedłszy do pokoju, zapytał: »Czy tu mieszka pan Haydn?« — »Ja nim jestem«, odrzekł artysta, »lecz chciéj mi wpan powiedzieć, czém mogłem rozgniewać Jego cesarza, i co mają oznaczać te niepokojące mnie odwidziny?« — »Nie trwóż się wpan«, odrzekł oficer, »cesarz nie uskarża się bynajmniéj na wpana, i owszem dał mi rozkaz, postawienia straży honorowéj przede drzwiami tak sławnego artysty, i dawania szczególniejszéj baczności, aby osoba i pomieszkanie wpana w każdym względzie szanowanémi były.« — Jakoż w samej rzeczy straż honorowa stała codziennie przede drzwiami domu, w którym Haydn mieszkał.

Pewien bardzo majętny człowiek w Frankforcie nad Menem, ale przytém o swoje życie bardzo troskliwy hypochondryk, pytał lékarza, azali też nie ma jakiego środka na przedłużenie życia. »I owszem, jest jeden z najpewniejszych«, odrzekł lékarz, »zostań wpan przedsiębiercą teatru. To najlepszy sposób, gdyż rzadko się zdarza, aby który przedsiębierca teatru jako człowiek majętny ze świata zeszedł.«

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.